

Pieśni o Awanturnikach

Mateusz Juszczyk

Tom II

Pieśni o Awanturnikach

Mateusz Juszczyk

Tom II

Wersja demonstracyjna



PSYCHOSKOK

Mateusz Juszczyk
„Pieśni o Awanturnikach". Tom II

Copyright © by **Mateusz Juszczyk**, 2019
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Tomaszewska**
Korekta i redakcja: **Robert Olejnik**
Korekta: **Joanna Barbara Gębicka**
Projekt okładki: **Robert Rumak**
Ilustracje na okładce: **Andrey Armyagov, Tryfonov, samiramay – stock.adobe.com**

ISBN: 978-83-8119-562-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
http://psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Tę książkę, jak i cały cykl,
dedykuję wszystkim awanturnikom,
ludziom przygody i miłośnikom
historii tamtego okresu

Prolog

Rok 1657

We mgle kroczyli żołnierze szwedzcy. Przygnali z krain północy zimę i lód. Nie widziałem twarzy. Słyszałem jedynie marsz. Nieśli ciężkie muszkiety, ciągnęli za sobą działa. Tupot koni, wiozących ich oficerów, zmroził krew w żyłach prostych ludzi ziem naszych. Za nimi płonęła twierdza. To ich sprawka. Widziałem dym, lecz żadnych barw. Szarość wszystko przyćmiła. Z ust najeźdźcy wydarła się pieśń. Boże mój, miej w opiece ziemie ci poddane i ludzi, którzy na niej żyją, bowiem nastał czas rozlewu krwi. Na wzgórzu szykują się mężowie. Patrzą na setki żołnierzy. Spoglądają. Czekają na odpowiedni moment. Przegnać, bowiem, wroga nam trzeba.

Był już zimowy, grudniowy wieczór. A zima tamtego roku była wyjątkowo ostra, jak nigdy przedtem. Dla podróżnych miejscowa tawerna była wymarzonym miejscem do spoczynku. Miasto szykowało się do długiego snu. Mróz był nieznośny. Obywatele spacerowali, otoczeni przez śnieżne zaspy. Białe labirynty były idealnym miejscem do zabawy dla dzieci. Starsi rozprawiali o zjawiskach, które nawiedziły północne krańce ich ziemi. Wojna niosła za sobą ofiary. Krew znaczyła ścieżkę najeźdźcy. Potomkowie wojowników, wielkich wikingów, niszczyli miasto za miastem.

Niewielu odważyło się wyjść na zewnątrz. Większość rodzin ogrzewała się w domach.

A w *Beczułce Piwa*? Ogień w kominku roznosił przyjemne ciepło po całym pomieszczeniu tawerny. A co ze strawą!? Pieczeń tak

wspaniała, że zapach dochodził już na obrzeża portu gdańskiego. Tu się wszystko zaczęło. Podróż holenderskiego pisarza w owe rejony nie była przypadkowa. Szukał inspiracji. Jego opowieści marnie się sprzedawały, a prawdziwa historia, ubarwiona przez najlepszego poetę, mogła przynieść sławę i duże pieniądze.

Wszedł, zasiadł przy stoliku i zamówił piwo. Szablę i pistolet w kaburze odrzucił na bok, otrzepał kołpak ze śniegu i rozsiadł się wygodnie, spoglądając na zebraną śmietankę towarzyską. Alkohol lał się strumieniami. Widocznie zebrani mieli co świętować. Gdyby nie jedyny wolny stolik, pewnie przybysz poszedłby dalej. W mieście na pewno znalazłaby się jakaś karczma. Kapitan, z którym tu przybył, zalał się w trupa i leżał na wpół przytomny, trzymając głowę na stole. Tak przepijał zarobione pieniądze. Załoga spoczywała w kubryku, oczekując na przybycie kapitana. Prędko nie mógł wytrzeźwieć. On żył jak bogacz, oni nie dojadali, żywiąc się zbyt mocno przyprawioną suchą papką. I tak przez całą podróż.

Karczmarz, trzydziestoośmioletni mężczyzna o sile dwóch mężów, przyniósł kufel piwa. Niezbyt przyjemnie mu z oczu patrzyło. Gość nie uznał go raczej za osobę godną zaufania, ale zaryzykować zawsze było warto. Szczególnie w czasach, kiedy zaufać nie było tak łatwo.

Holenderski pisarz sięgnął jedną ręką po kufel, a drugą przyciągnął karczmarza ku sobie. Mężczyzna spojrzał wrogo na przybysza i odruchowo zacisnął pięści. Nie ukrywał złości.

– Wieści kosztują – odezwał się właściciel tawerny, nieprzyjemnym tonem. – Dobrze zapłacisz, to możemy przejść do interesów. – Zapalił fajkę i wypuścił z ust dużą chmurę dymu.

– Zapłacę, ile trzeba, przyjacielu. – Odparł pisarz, uśmiechając się, choć była to udawana radość. Miał marne grosze przy sobie, więc musiał wykazać się sprytem. – Ale potrzebuję konkretów. Jestem pisarzem i szykuję się do napisania opowieści. Takiej, która podbije światowy rynek.

Karczmarz próbował pójść dalej, ale Holender go przytrzymał.

– Pomoże mi pan? Nie bez powodu tu przybyłem. Chodzą słuchy, że w pana tawernie najwięcej słychać o tym, co w świecie się dzieje. Może to kwestia najlepszego piwa w mieście. Ludzie tak powiadają. Pogoda raczej nie sprzyja wędrówkom, a jednak tutaj gawiedź przychodzi. To dowód na to, że dobrze trafiłem.

Pisarz zaprosił do stolika karczmarza. Znużenie wzięło górę. Oczy Właściciela zaczerwieniły się ze zmęczenia albo braku zainteresowania. Ale zgodził się wysłuchać Podróżnika.

– Mogę poznać imię? – spytał Właściciel.

– Gdyby je pan poznał, to już by tu pana nie było – zaśmiał się Pisarz. – Więc przy lepszej okazji.

– Marny z pana pieśniarz w takim razie. – Wstał, ale Pisarz poprosił, by jeszcze chwilę został.

– O tym się pan przekona sam. Płacę pięć guldenów za opowieść. A potem ją spiszę na papier. Będę się pojawiał regularnie raz na dwa tygodnie. Jeśli uznam, że opowieści są nieciekawe, zniknę i nigdy pan więcej mnie nie spotka. Jeśli stwierdzę, że ludzie to kupią, to biorę pana na wspólnika. Czy taki układ panu odpowiada? Nie ma pan nic do stracenia.

Karczmarz usiadł ponownie i rozejrzał się po tawernie:

– A czego miałyby dotyczyć owe opowieści?

– Wszystkiego, wojen, podróży, sławnych ludzi, miłostek, zdrad, guseł, czarów, potworów i tak dalej. Ludzie powiadają, że są tu pewne osobistości, które są chodzącymi legendami. Chcę o nich usłyszeć jak najwięcej. Myślę, że trafiłem na odpowiednią osobę.

„Nareszcie konkrety" – pomyślał Właściciel. Jeśli Holender zapłaci, to faktycznie nic do stracenia nie miał. – Słyszy się to i owo, więc przystaję na to.

– Wrócę za dwa tygodnie, pana zdrowie!

Karczmarz kiwnął głową. Pisarz uśmiechnął się i upił sporą ilość piwa.

– Piwo na mój koszt, ale za następne będzie pan musiał zapłacić. – Karczmarz wstał i wrócił do przyrządzania pieczeni.

Holender odetchnął z ulgą. Nie stać go było na tak drogi trunek. Gdyby się nie udało, pewnie znów musiałby uciekać. Nadszedł czas czekania i zdobycia pięciu guldenów. Pisarz miał dwa tygodnie.

I tak przez kilka miesięcy słuchałem marnych opowieści. Nikogo nie zaciekawiły. Aż tu nagle, gdy już miałem odchodzić, usłyszałem o sławnych awanturnikach. To było warte moich guldenów. Ta historia na pewno na długo zostanie zapamiętana...

Tak, bowiem, pieśń rozbrzmiała

Rok 1658

Pole otaczające miasto rozbrzmiało walkami tamtego listopadowego dnia. Od brzasku żołnierzom towarzyszył deszcz, który raz ustawał, a raz nieznośnie narastał. Broń palna przy takiej pogodzie najczęściej zawodziła, bo zmoczony proch nie nadawał się do niczego. Tak wyglądała zawierucha spowodowana przez, ciągnącą się od tysiąc sześćset pięćdziesiątego piątego roku, drugą wojnę północną.

Dwie strony biegły na siebie, żołnierze dumnie trzymali szpady, koncerze i muszkiety po to tylko, by zadać jak najwięcej śmierci. Nienawiść do najeźdźcy była ogromna. Z jednej strony herby Orła Białego w koronie i Pogoni Litewskiej, z drugiej herby z Lwami i koronami na niebieskiej tarczy. Lwy i korony – duma Karola X Gustawa. To on wszystko zapoczątkował, kiedy armie szwedzkie wkroczyły od Pomorza Przedniego do Wielkopolski i z Inflant na Litwę w tysiąc sześćset pięćdziesiątym piątym roku. Straty tej wojny były ogromne, ale toczyła się nadal.

Korpus Stefana Czarnieckiego uderzył na wroga. Równinę zasypały trupy ludzi i padające konie. Trawy splamiły się krwią rannych i zabitych. Z oddali dobiegały strzały i szczęki szabel. Wstrząsnęło to psychiką walczących żołnierzy. Wycie jednego z wierzchowców wywołało u pewnego Uczestnika rozpacz i myśl o niechybnej śmierci. Zwierzę cierpiało, a On postanowił ukrócić te katusze. Mocnym ciosem rapiera dobił konia i spojrzał na walczące strony. „Czy dzisiaj polegnę?" – zapytał

sam siebie. Myślami był tam, gdzie przeżył przygodę swojego życia: Tobago i Barbados, a wcześniej Windawa i Londyn. Bał się teraz tak, jak pewnego zimowego dnia tysiąc sześćset czterdziestego siódmego roku. Wtedy został ocalony. Pod Koldyngą sytuacja była jeszcze bardziej dramatyczna. Na własne życzenie stał się uczestnikiem tych wydarzeń.

Marcin Seradzki, gdański szkutnik, szedł w bój, dzielnie trzymając rapier wuja. Wycinał wrogów u boku swoich towarzyszy, z którymi tu przybył, ale rozpaczając, że nie pozostawiono mu wyboru. W Koldyndze uwięziono jego przyjaciół. Pan szkutnik pamiętał o nich i o kłótni z Albertem Schellem. Żałował niepotrzebnych słów. Mógł sobie tego oszczędzić. Ale stało się, a jego obowiązkiem był szybki ratunek i nadzieja na przebaczenie. Oczywiście sam musiał najpierw wyjść cało z tej zawieruchy. Dzielnie bił szwedzkich żołnierzy. Kule zasypały go już nie raz, ale on wychodził z tego bez szwanku. Widział polskich jeźdźców, którzy padali martwi. Ręce drżały mu ze strachu. „Sarah!" – usłyszał w głowie imię. Chciał powrócić do ukochanej. I tylko przebiegłość i spryt na polu bitwy mogły mu przedłużyć życie. Niebycie dżentelmenem, od których roiła się ziemia.

Marcin zmienił się od czasu powrotu. Zarósł, a na głowie zawiązywał czarną chustę, by włosy nie zasłaniały mu oczu. Postarzał się, a ostatnie podróże bardzo go wymęczyły. Ale jak na te wszystkie okoliczności, fizycznie trzymał się dobrze w porównaniu do swojego przyjaciela, Ryszarda – właściciela gdańskiej tawerny. Mężczyzna był już słaby, a jego zły tryb życia odbił się na zdrowiu. Ledwo szedł w bój. Ciężko dyszał, a zbyt duży brzuch nie pozwalał mu daleko maszerować. No i między panami był jeszcze jeden problem. Ostatnimi czasy ciągle się kłócili.

Szwedzki żołnierz wysunął z szyku szyję. Marcin miał chwilę, by uderzyć. Nie zawahał się, ale przez głowę przebiegały

mu pytania. „Nie jestem mordercą" – pomyślał. „Ale to jest wojna! Oni zaatakowali mój dom. Co się wydarzy, gdy zabiję tamtego mężczyznę? Czy jego dzieci zostaną bez ojca a żona bez męża? Jak wielka będzie jej rozpacz, kiedy dowie się, że mąż nie wróci? Przecież sam mogę tu zginąć, a Sarah mnie nie ujrzy. On jest stworzeniem Bożym. Ja też. My wszyscy, a mimo to zabijamy się i wyklinamy".

Seradzki warknął ostro, uderzając rapierem. Szwedzki żołnierz, trafiony w szyję, padł, wypluwając strumienie krwi.

Szyk szwedzki został przerwany.

Żołnierze Czarnieckiego wykorzystali sytuację i przełamali go całkowicie. Seradzki został popchnięty i upadł bezwładnie w ubłoconą ziemię, między masę trupów i leżące konie. Szwedzki muszkieter ruszył na Marcina. Pan szkutnik zerwał się szybko, ale poczuł, jak nóż przecina mu ramię. Zawarczał głośno i trzasnął rapierem za siebie. Szwedzki muszkieter, trafiony w plecy, zatoczył się i padł na kolano. Marcin jednym silnym ciosem powalił go na ziemię i zabił. Potem stanął pomiędzy walczącymi i przytrzymał krwawiące ramię. Kiedy ruszył dalej, zaatakowało go kolejnych dwóch szwedzkich muszkieterów i oficer w mundurze. Marcin zablokował ich ataki, ale miał pecha, bo rapier Henryka złamał się w pół. Krzyknął wniebogłosy, kiedy pamiątka po wielkim człowieku zatopiła się w błocie i krwi. Człowieku, który dla Seradzkiego był wujem, ale także jedynym ojcem i dziadkiem (często go tak nazywał, kiedy Henryk Seradzki się zestarzał). Marcin wyjął pistolet. Broń nie wystrzeliła. Drugi pistolet już tak, ale ranił tylko szwedzkiego oficera, a tamten w odpowiedzi trzasnął Marcina szablą w brzuch. Seradzki pomyślał o najgorszym.

– Boże, dopomóż! – zakrzyknął szkutnik.

Pojawili się dragoni. Jeden pałaszem przebił szwedzkiego oficera, a pozostali muszkieterzy zostali ostrzelani z bandoletów. Odsiecz przyszła na czas. Ryszard, przyjaciel Marcina,

wyrwał pistolet szwedzkiemu żołnierzowi, celującemu w szkutnika, i go zastrzelił. Potem podźwignął flagę z Orłem Białym w koronie i ruszył na wroga. Nie dobiegł. Zdyszany, padł na kolana. Ale nie musiał się już martwić. Bitwa była skończona, a szwedzki chorąży, chroniony przez dwóch muszkieterów, został zalany falą wściekłych żołnierzy. Jeden z nich wyrwał mu flagę szwedzką, dumę Karola X Gustawa. Zakrzyknął głośno:

– Zwycięstwo!

Niedobitki szwedzkich żołnierzy wycofały się do miasta. Zmęczeni i ledwo trzymający się na nogach żołnierze z korpusu Czarnieckiego chcieli biec za nimi, ale dowódca ich zwołał. Wycofali się do obozu. Marcin pomógł iść Ryszardowi, ale sam, zmęczony i poraniony, nie dawał rady.

– Pomóż mi! – krzyknął do jednego z żołnierzy.

Znali się od niedawna, a Marcin miał okazję poznać tajemnicę żołnierza. Bowiem nie był to mężczyzna, a kobieta. Pochodziła z Republiki Zjednoczonych Prowincji. Eline – tak miała na imię kobieta o brązowych włosach i błękitnych oczach. Ukrywała się w męskim ubraniu. Marcin nakrył ją w najmniej odpowiednim momencie, kiedy brała kąpiel. Nie zdradził mimo to jej tajemnicy. Z miłości do męża Eline przybyła do Danii, by jak najszybciej dołączyć do ukochanego, który służył we flocie Jacoba van Wassenaera Obdama, zmierzającej w stronę Cieśniny Sund. Dlaczego się tak dogadywali z Marcinem? Może dlatego, że oboje byli awanturnikami. Ludźmi szukającymi przygody i niebezpieczeństw w życiu. Eline osiągnęła swoje marzenia, dopiero gdy uciekła z domu rodziców. Miała zostać wydana za starszego mężczyznę. Zakochana w dwa lata młodszym oficerze, postanowiła zbiec razem z nim i wzięła potajemny ślub. Szybko zaszła w ciążę, ale poroniła. Załamana tamtymi wydarzeniami, widziała jak jej mąż zostaje wezwany do służby. Samotność i życie w domu nie było dla niej. No i strach, że go straci. Dlatego wyruszyła

za ukochanym. Przebrana za mężczyznę, dotarła do Gdańska, a potem spotkała Marcina Seradzkiego.

Często rozmawiali na temat swoich przygód. Razem dogadywali się świetnie. Inspirowała ją opowieść o kurlandzkich koloniach i zadziwiającym życiu pana szkutnika. Marcin często chwalił Jakuba Kettlera, uważając go za swojego wybawcę.

Znając tajemnicę Eline, Seradzki proponował jej, by ścięła długie, brązowe włosy, dobrze ukryte pod kapeluszem, ale dostrzegalne przy bitewnym zgiełku, kiedy nikt nie dba o to, jak wygląda. Ona odmawiała. Spoglądając na nią, Marcin zawsze się zastanawiał, jak nikt nie zauważył, że ta osoba różni się od pozostałych. Choćby budową ciała. Eline była niższa od reszty mężczyzn. Miała jasną i czystą cerę, niemal zdradzającą jej tajemnicę. No i jej głos. Łagodny, nieprzypominający męskiego, twardego akcentu. Mimo to najbardziej martwił się kwestią jej włosów.

– Nigdy nie zetnę włosów! – powtarzała z niderlandzkim akcentem. – Nie zrobię sobie tej przykrości. Jak mnie nakryją, wtedy będę się martwić. Ty już to zrobiłeś, panie Seradzki. Mam nauczkę, żeby szukać innego miejsca do kąpieli.

– Dalszego od wielu stęsknionych za żonami mężczyzn? – zapytał rozbawiony Seradzki.

– Takiego, by twoje ciekawskie oczy tam nie dotarły! – odpowiedziała groźnie. – Zbliżysz się i poczujesz na własnej skórze ostrze mojej szabli! Pilnuj się.

– Nie chciałem cię urazić i nie mam zamiaru się zbliżać. Ale i tak masz szczęście, że to ja cię nakryłem, a nie kto inny – przestał się śmiać i odparł poważnie. Potem odszedł, by nie wchodzić jej w drogę i dać jej czas na ochłonięcie z gniewu. Eline była bardzo zadziorna. Łatwo było ją sprowokować do kłótni.

Po powrocie do obozu Marcin przemył rany i zaszedł do namiotu. Tam klęknął i łapiąc krzyż, który nosił na szyi

od samej Warszawy, gdzie dał mu go jeden z księży, odmówił modlitwę:

– Boże, Ty, który mnie stworzyłeś, dziękuję Ci za to, że pozwoliłeś mi dzisiaj iść w bój i że przetrwałem, mimo śmierci, która szalała wokół mnie. Boże, przepraszam Cię za krew, którą przelałem. To mój obowiązek walczyć o Rzeczpospolitą. Prowadź naszych żołnierzy, tak jak prowadziłeś naszych braci na Jasnej Górze. Daj mi siłę, bym zwyciężał dalej i proszę Cię, bym jeszcze ujrzał moją ukochaną Sarah. Jest dla mnie wszystkim. Tak jak Ty jesteś Jedynym prawdziwym Ojcem. Proszę Cię, chroń bezbronnych, chroń moją piękną narzeczoną i chroń tych, których spotkałem, a którzy nie wierzą w Twoją siłę i wielkość. Amen.

– Skończyłeś? – zapytał Ryszard, przyjaciel z tawerny, drapiąc się po brodzie.

– Podsłuchiwałeś? – oburzył się na przyjaciela.

Ryszard zaśmiał się.

– Daj sobie spokój z tymi modłami. Walczymy i umieramy, co nam pozostało? – Zapalił fajkę i od razu dostał ataku kaszlu. Zdrowie mu nie dopisywało w ostatnich dniach, a Marcin chciał go znowu upomnieć, ale wolał się nie odzywać, by uniknąć kolejnych kłótni. – A ty tracisz czas na modlitwy. Jesteśmy samotni. Opuszczeni przez Boga!

– Gdyby Bóg nas opuścił, to Jasna Góra byłaby dziś pod władzą szwedzkiego najeźdźcy, a nasze ziemie zagrabione, Ryszardzie.

– Co ty wiesz, Seradzki!? Nie było cię, gdy ginęli nasi ludzie. Daleki byłeś od trosk w kurlandzkim Tobago.

Właśnie tak miały się relacje z Ryszardem. Marcin nie rozumiał, czemu przyjaciel wypominał mu to, że był daleko od Rzeczpospolitej, skoro Ryszard sam namawiał go do tej podróży. Mimo to, by załagodzić rozmowę, wypytał przyjaciela o wieści. A Ryszard miał ich sporo, bowiem przebywał kilka tygodni w armii Raimondo Montecuccolego.

No właśnie, ciekaw był losów swoich dawnych towarzyszy. Jakub Kettler, uwięziony przez szwedzkich najeźdźców, nie mógł zarządzać księstwem Kurlandii i Semigalii i dlatego kolonie upadały. Kwestia czasu. Marcina zasmuciła wiadomość, że to, co pomagał budować księciu, jest tak kruche, że niedługo może mieć swój kres. Wyspa Świętego Andrzeja, Wyspa Świętej Marii i Nowa Kurlandia ledwo się trzymały. Piraci i mocarstwa Europy próbowały pozbyć się nowego kolonizatora. Ale gdyby wojna się skończyła, a Kettler powrócił, może dałoby się jeszcze coś ratować – taką nadzieję miał Seradzki. Chciał mieć po wojnie prostą drogę do powrotu na Nową Kurlandię, by założyć obiecaną stocznię, wziąć ślub z Sarah i spłodzić dzieci. Nie chciał już walczyć.

William James Blackborn szukał w tym czasie w tawernach na Tortudze śmiałków na pierwszą od wielu lat wyprawę. Obmyślał plan jak najszybszego wzbogacenia się i zdobycia sławy. Po tylu latach trudności i podróży po Europie tylko po to, by wsiąść na okręt płynący na Karaiby, miał w końcu spełnić marzenia. No i było jeszcze to, o czym Seradzki się nie dowiedział. Sarah, porwana przez piratów, miała zostać sprzedana w Algierze. Jej ojciec i bracia zostali wtrąceni do Newgate za zdradę, a Cromwell, umierając, swoje ostatnie życzenie przekazał nieznanemu awanturnikowi. Nowi przybysze wyruszyli z odpływem z portu na Tamizie. Zamierzali bowiem dać o sobie znać na kartach tej historii.

W tawernach pieśń już rozbrzmiała. Słuchacze i świadkowie tego wydarzenia czekali na kolejne dzieje, ludzi, przygody. Martwi niczego nie opowiedzą, ale żywi będą mogli ubarwiać swoje historie i pić darmowe kolejki za opowiedziany epizod swojego życia. Marcin dobrze o tym wiedział. Sławę już osiągnął, w życiu się spełnił, ale dla przygody był w stanie zrobić wszystko.

Kiedy siedzieli z Ryszardem w namiocie, pojawił się tam Stefan Czarniecki. Potrzebował kogoś takiego jak Marcin. Misja,

którą chciał mu zlecić, miała być wyzwaniem dla Seradzkiego i kolejną wyprawą. To uradowało szkutnika.

– Porozmawiamy na osobności, panie Seradzki? – zapytał Czarniecki. – Mam pilną sprawę.

Przygotowania do wyprawy

Marcin Seradzki i Stefan Czarniecki siedzieli w namiocie i popijali piwo. Po ciężkim boju pod Kolding musieli ochłonąć, ale byli już coraz bliżej wygranej. Dobrze wiedzieli o tym, że wojska zdobywają przewagę. Twierdza prawie była zdobyta. Szwedzki garnizon resztkami sił opierał się jeźdźcom Czarnieckiego. Ale jak długo byli w stanie się utrzymać? W tysiąc sześćset pięćdziesiątym piątym szwedzka armia zdołała zdobyć Litwę bez oporu. To było wielkie zwycięstwo szwedzkiego króla, ale dzisiaj pochowani w twierdzach żołnierze w niczym nie przypominali dawnych triumfatorów. Może liczyli jeszcze na kolejne zwycięstwo, a może tracili nadzieję!? Litwa znalazła się pod protektoratem Karola X Gustawa. Jan Kazimierz wyruszył na Śląsk, gdzie miał się schronić przed najeźdźcą z północy. W tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym roku Szwedzi poczuli na własnej skórze gniew Rzeczpospolitej. Wszyscy pamiętali o bohaterskiej obronie Jasnej Góry sprzed roku. Losy wojny powoli się odmieniały. W tysiąc sześćset pięćdziesiątym siódmym, gdy wojna trwała nadal, Marcin Seradzki powrócił do ojczyzny. Zaraz po przyjeździe poczuł skalę tego konfliktu. A potem zjawił się w Danii, gdzie wojna w końcu się przeniosła. Marcin nie spodziewał się, że dołączy do korpusu Czarnieckiego. Miał bowiem inne plany, co do tej wojny. Ale chciał ratować przyjaciół, uwięzionych w Koldyndze. I dlatego zaszedł tak daleko. Szwedzi ponosili klęskę za klęską.

Marcin siedział, spoglądając na Czarnieckiego. Wcześniej wyobrażał sobie, że będzie przed nim stać na baczność i słuchać

jedynie rozkazów hetmana, ale przypominało to raczej przyjacielską pogawędkę. Wojewoda ruski zaproponował napicie się dobrego piwa i Marcin przystał na to. Choć ostatnimi czasy postanowił ograniczyć alkohol. Ryszard oburzył się, gdy musiał wyjść. Pan szkutnik to zauważył, bo mina Ryszarda mówiła sama za siebie. Grymas twarzy i złowrogie parsknięcie przyjaciela rozzłościło samego Marcina. No, ale co miał z tym zrobić. Przecież to Czarniecki przyszedł do niego z ważną sprawą. To nie on biegał za wojewodą, próbując wkupić się w łaski.

– Potrzebuje osoby takiej jak ty. Sprytnej, szybkiej i silnej – zaczął Stefan Czarniecki. – Byłeś na Tobago. Słyszałem o tobie wiele. Obrosłeś sławą w niejednej pieśni. Wiesz, zauważyłem, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Ty walczysz za swoje racje, tak samo jak ja. Jestem żołnierzem. Wiele w życiu widziałem. Do dziś w pamięci mam rzeź pod Batohem. To wszystko o mnie. Widok wojen i zabijania. Całe moje życie. Ty zaś jesteś podróżnikiem, niestraszna ci wędrówka i pewnie masz doświadczenie z trudnym, nieznanym terenem. Szczerze mówiąc, zastanawia mnie, co tutaj robisz. Twoje życie nie należy do służby, ty jesteś indywidualistą. Daleko szkutnictwu do wojennej drogi. A może szkutnictwo to tylko pretekst do czegoś większego. Twoje ambicje daleko wykraczają poza mój tok myślenia. Zresztą, chłopaki ci tutaj nie dorównują. Widzę w bitwie, że nie wyrywasz się do zabijania. To w tobie lubię. Ciągle jednak chodzi mi po głowie pytanie, dlaczego tutaj zaszedłeś? Ale o tym potem. Teraz chciałbym porozmawiać o sprawie, z którą przybyłem. – Stefan Czarniecki wychylił kufel, a potem odłożył na drewniany stolik.

Marcin z uwagą słuchał Czarnieckiego. Hetman dobrze go podsumował. Ambicje Seradzkiego były największą tajemnicą. W spełnienie marzeń Marcina prawie nikt nie wierzył do czasu, kiedy, osławiony, wrócił z dalekiego Tobago do Gdańska. Od tamtej pory nikt już nie powiedział o nim nic złego.

Ci, którzy w niego nie wierzyli, mogli jedynie potem szeptać i plotkować o nim. Kolejną zagadką było to, czemu zaszedł aż na wojnę. Odpowiedź była prosta. To był jego obowiązek. Obowiązek bronić ziem i swoich przyjaciół.

– O co chodzi? – zapytał Seradzki, łapiąc się za ramię, w które oberwał. Rana szczypała, a on odczuwał ten nieprzyjemny ból. Grunt, że krew już nie ciekła. W głowie miał natłok myśli, przypominających mu moment, gdy był bezbronny i spojrzał w oczy śmierci. Tym razem ją oszukał, ale następnym razem mogło być inaczej. Nie chciał tak skończyć. Marcin nawet śmierć chciał sobie zaplanować. Piękną śmierć, nie taką w ubłoconej krwią ziemi, ale taką, którą wszyscy zapamiętają. Taką, którą ubarwią najlepsi pieśniarze. Jak na awanturnika przystało śmierć taką, by odejść z godnością i zapisać się na kartach historii. Chciał zostać pochowany nieopodal Henryka Seradzkiego. Chciał dołączyć do tego wielkiego człowieka. Spotkać go tam, w innym świecie, i wyruszyć na wspólną wyprawę po niebiańskim królestwie oraz dołączyć do wieczerzy Pana. Ale wiedział, że jego życie pełne jest różnych decyzji. Nie zawsze dobrych.

– Szukam odważnej osoby, kogoś, kto zawiezie list holenderskiej flocie, dowodzonej przez Jacoba van Wassenaera Obdama. Ty się nadasz, Marcinie. Nie znam drugiej takiej osoby. Czy podejmiesz się tego zadania? Musisz udać się do Sundu. Weźmiesz swojego konia. To misja dla sprytnego szpiega, a nie zwykłego żołnierza. Z takimi umiejętnościami, jakie nabyłeś, nie powinieneś mieć kłopotów. Ta podróż pozwoli ci odpocząć od bitewnego zgiełku. Użyj głowy, a gdy życie twoje będzie zagrożone, zniszcz list. To bardzo odpowiedzialne zadanie. Na drodze napotkasz wrogich Szwedów. I pamiętaj, list nie może wpaść w niepowołane ręce.

Marcin wychylił kufel i spojrzał na wojewodę ruskiego z uśmiechem. Chciał się wykazać, więc wiedział już, że się zgodzi. Podróż przez nieznane rejony zabierze go z tego

piekielnego miejsca. Będzie miał czas na pracę, jaką kocha i trochę przygody. Tutaj może zginąć, a tam przyda się jego talent. Po wykonaniu zadania może zyskać wysoko postawionego przyjaciela.

– To zadanie specjalnie dla mnie. Wezmę list. – Seradzki wziął przesyłkę i włożył pod ubranie. – Ale muszę wam podziękować. To dla mnie zaszczyt i w końcu mogę robić to, w czym jestem dobry. Niezwłocznie wyruszam w drogę.

Czarniecki dopił resztki piwa. Podrapał się po głowie, uśmiechnął się i wstał ze stołka:

– Spokojnie, nie spiesz się, daję ci godzinę. Bierz tylko to, co ci się przyda. Ale bądź ostrożny, czasy niebezpieczne, a trakt roi się od wrogich zwiadów. Flota wie, że przybędziesz, ktoś tam na brzegu będzie na ciebie czekał i doprowadzi cię do admirała-porucznika. Nie zawiedź mnie, a po wykonaniu zadania wróć do Haderslev. Będę tam oczekiwać ciebie, w mojej kwaterze. Wprowadzę cię w moje nowe plany. Napijemy się czegoś i porozmawiamy. Trochę się poznamy. Będzie dużo czasu. Nie daj się zabić. Szkoda byłoby stracić duszę tak bogatego w opowieści człowieka. Aha…

Marcin zauważył, że wojewoda ma jeszcze jedną sprawę:

– Ten twój przyjaciel, Ryszard, coś ostatnio się nie dogadujecie, zauważyłem. Na pewno się nie mylę. Przyglądałem się wam ostatnio. Zresztą, znamy się nie od dziś, ale dopiero teraz mamy okazję normalnie porozmawiać.

– Odkąd wróciłem z Nowej Kurlandii jest do mnie nastawiony wrogo. Nie wiem, skąd to podejście, ale ciągle wypomina mi różne sprawy, a ja tego nie lubię.

– Oby wasze kłótnie nie zaszły za daleko. Ktoś mógłby stracić życie, a on raczej do zwinnych nie należy. Wiesz, o co mi chodzi? – zaśmiał się Czarniecki i Seradzkiemu zrobiło się głupio, bo uświadomił sobie, że wojewoda właśnie obraził jego przyjaciela.

Czarniecki poprawił ubranie i przygotował się do wyjścia. Seradzki dopił swoje piwo i uśmiechnął się wymuszenie.

– Tak, tak, wiem, a ja zabieram się do roboty.

– Powodzenia. Kolejny Seradzki, który chce wziąć los w swoje ręce, a może już to zrobił. Jesteś taki sam jak Henryk. Odziedziczyłeś to po nim.

– To on dał mi najcenniejszą lekcję życia. Spełniać marzenia. I słuchając go. Zaszedłem daleko.

– O tak, Henryk Seradzki! Różnie to bywało między nami, bo pan husarz lubił się wymądrzać i wychodzić poza szereg, ale mam do niego szacunek. Wielki żal, że już nie żyje, ale to kilka lat już minęło. Zmarł zimą, hmmm, tysiąc sześćset czterdziestego…

– …siódmego – dopowiedział Marcin. – Tysiąc sześćset czterdziestego siódmego. Ciężki to był dla mnie rok, ale stałem się silniejszy, doświadczając tamtego trudu. Choć los bardzo okrutnie mnie potraktował i nad tym ubolewam, to uważam, że zrobiłem wystarczająco dużo, żeby odmienić swoje życie. Choć też skłamałbym, mówiąc, że tak całkowicie sam sobie poradziłem. To po prostu wykorzystana szansa, którą dostałem od kogoś.

Czarniecki uśmiechnął się i wyszedł, a Marcin poczuł, jak sączy mu się znowu krew z rany na brzuchu. Nie była to wielka rana, ale nie dał się opatrzyć, a tylko ją przemył. Chwilę poszczypało, kiedy kolejny raz przyłożył nawilżoną szmatkę do brzucha, a potem, odczuwając nieprzyjemny ból, zabrał się do pracy. Naładował dwa pistolety, leżące na stoliku obok. Robił to z wielką chęcią. Cieszył się z takiego biegu zdarzeń. Znowu czekała go przygoda i miejsce w kolejnych tawernianych opowieściach. Naszła go chęć ponownego zasmakowania życia pełnego niepewności i zagrożenia. Niespodziewanie pracę przerwał mu Ryszard, który wrócił wściekły do namiotu. Nie była to jednak ta wściekłość, do której Marcin się przyzwyczaił.

To nie był ten sam gdański karczmarz, którego pan Seradzki znał wiele lat. To był inny człowiek. Odmieniony przez wojnę i choroby, które od środka go wyniszczały. Nie dał jednak sobie powiedzieć, że coraz z nim gorzej i dlatego wyładowywał złość na szkutniku, winiąc go za sprawy, które nie miały miejsca w rzeczywistości, albo za jego nieobecność przez ostatnie lata. Choć tym razem trochę racji miał. Poczuł się wyśmiany.

– Nie nadaję się do niczego!? Nie jestem zwinny? Może chcesz poczuć, do czego jestem zdolny, Marcinie!? – Ryszard, rozzłoszczony, złapał szkutnika za ramię, to poranione.

Marcin odczuł silny ból. Odepchnął go i zrzucił pistolet, który wcześniej zdążył nabić. Szykował się kolejny konflikt między przyjaciółmi. Tym razem pokłócili się na dobre.

– Ja tego nie powiedziałem, Ryszardzie! – Marcin również trafnie to spostrzegł. Nic takiego nie powiedział o przyjacielu. Ale żałował, że podzielił się problemami z samym wojewodą. Nie wiedział, że Ryszard będzie ich podsłuchiwał. Mimo to miał już dosyć wszystkich niesnasek i tylko czekał na to, czy Ryszard będzie na tyle odważny, by rzucić mu wyzwanie.

– Marcinie drogi, to tak wygląda twoja przyjaźń!? Przyłożyłbym ci za to, ale wiesz, zachowam resztki godności!

Marcin pomachał groźnie palcem:

– Znowu podsłuchiwałeś! A może po prostu od razu zażądasz satysfakcji!? Może masz ochotę na szlachetny pojedynek!? Wypocznij człowieku, bo widocznie masz coś z głową. – Marcin poczuł, że przegiął z tonem. Zaczął krążyć wokół przyjaciela, bacznie go obserwując. Prawie doszło do konfrontacji, ale w ostatnim momencie się powstrzymali.

– Idź do diabła, Seradzki! Wielce wuja chcesz naśladować, a wcale nie jesteś do niego podobny! Zmieniła cię ta cała Kurlandia i wielki pan książę! Wszyscy idźcie do diabła. Ty i Ketler! Wracaj tam, gdzie ci dobrze było i zostaw to wszystko w spokoju! Nie wiecie, co to prawdziwe życie. Ja ci pomogłem,

kiedy ty byłeś w potrzebie, Marcinie! Doradzałem ci, a ty tak mi się odwdzięczasz!?

– Co ty, do cholery, mówisz, Ryszardzie!? Posłuchaj siebie. Ja wziąłem życie w swoje ręce, Ryszardzie, ty najwyraźniej nie, i to cię boli. Odkąd wróciłem, ciągle masz do mnie pretensje! Cokolwiek ci nie powiem, ty albo z tego szydzisz, albo masz wyrobione własne zdanie, które nijak się ma do rzeczywistości! Byłem tam, ale tęskniłem za Gdańskiem, tęskniłem za Rzeczpospolitą. Kiedy wybuchła wojna, wróciłem!

– Kiedy ty wróciłeś, wojna trwała już prawie trzy lata! Nie spieszyło ci się wcale! Może czekałeś na sam koniec, żeby się pojawić i pokazać, jak to wielce ci na nas zależy? Prawda jest taka, że nigdy nie oddasz za nas życia. Liczy się przygoda. To wracaj tam, a nie siedzisz tu. Kobieta czeka, palmy, słoneczne wybrzeże, Karaiby! No, co tu jeszcze robisz!? Wynoś się stąd, to nie twój świat!

– Co ty mówisz!? Byliśmy tam sami, statki nie dopływały, bo Bałtyk blokowały szwedzkie okręty. Nie mieliśmy wieści długi czas. Gdy tylko ktoś przypłynął i mnie o tym powiadomił, od razu spakowałem manatki i wróciłem. Ryszardzie, opamiętaj się! Zostawiłem tam narzeczoną, bo poszedłem ratować moje ziemie! Dużo ryzykuję! I tak w ogóle masz rację, to nie jest mój świat. Nie uważam, by przelewanie krwi i zabijanie się nawzajem w imię jakieś sprawy, było chwalebne, chyba że masz inne zdanie! Ryszardzie, do cholery!

Ryszard już nie słuchał. Wyszedł, a Marcin zrozumiał, że na nic jego wołania. Wściekle kopnął w stołek. Zerwał się tak prędko, że poczuł ostry ból brzucha. To go jeszcze bardziej zirytowało. Zagryzł zęby i podniósł pistolet z ziemi. Nie chciał mieć problemów z przyjacielem. Znał Ryszarda tyle lat, a i Henryk Seradzki dobrze znał właściciela tawerny.

– Czy naprawdę wszystko musi się rozpadać przez tą przeklętą wojnę!? – Marcin krzyknął sam do siebie, a może i kierował

swoje pretensje do Boga. Potem żałował swoich nerwów. – Dzień godny potępienia – podsumował. Chciał jeszcze raz porozmawiać z Ryszardem, ale po powrocie. Chciał też wykorzystać podróż na załagodzenie konfliktu. „Może tych kilka dni oddalenia coś naprawi" – pomyślał.

Przypasał dwa pistolety w kaburach, sztylet, sakwę z pieniędzmi, poprawił chustę na głowie, nałożył kapelusz, sprawdził, czy list jest dobrze zapieczętowany i ukryty w wewnętrznej kieszeni kamizelki i wyszedł z namiotu, unikając przyjaciela. Kiedy przechodził obok żołnierzy, wielu życzyło mu szczęścia. Spojrzał na piękne muszkiety i błyszczące ostrza szabel. Z kilkoma panami zamienił kilka słów. Dobrał sobie odpowiedni koncerz. Nie było to łatwe, bo przywiązał się do swojej dawnej broni. Ale nie miał wyboru. Musiał czymś walczyć. Ze stojaka na szable wybrał broń, która najlepiej się prezentowała i schował koncerz do pochwy. Dalej spotkał jedzących żołnierzy. Był głodny, ale nie chciał zwlekać z podróżą. Mimo to długo musiał się powstrzymywać. Obozowe jedzenie nie było może zbyt wyszukane, ale głodny wszystko by zjadł. Był jeszcze namiot, w którym opatrywano rannych. Widział mężczyzn bez palców, oczu lub nóg. Rany wojenne. Cały ten widok powodował, że serce stawało mu w gardle. Każdy z nich mógł tak skończyć. A następnego dnia walki mogli stracić życie. Pogoda znowu zanosiła się na deszczową. Niebo pociemniało. Zwiastun kolejnych krwawych wydarzeń.

Marcin, widząc tych, którzy krzyczeli z bólu albo konali w męczarniach, ominął to miejsce i zaszedł w stronę koni.

– Wędrowiec, piękny koń – powiedział na głos. – Najlepszy wierzchowiec. Nie żałuję, że wydałem na ciebie te kilka sakw w Gdańsku. Przynosisz mi szczęście. – Pogładził go po szyi.

Przed nim rozciągała się twierdza. Tam, gdzie stał, był idealny widok. Słyszał szykujących się do walki szwedzkich żołnierzy. „Coś planują" – stwierdził. Wiedział, że za kratą,

która chroniła wejście do twierdzy, uwięzieni są jego dawni towarzysze. Albert Schell i liczni załoganci z „Windau" pewnie stracili już jakiekolwiek nadzieje na ratunek. Ale było jeszcze to, o czym Marcin nawet nie chciał myśleć. Brał pod uwagę, że kamraci mogli już nie żyć. Tyle miesięcy już tam byli. Na wojnach niepotrzebnych jeńców rozstrzeliwano.

Przygotowując swojego konia, zobaczył Eline w męskim przebraniu. Kroczyła w stronę żołnierzy jedzących gulasz. Sama czuła, jak jej brzuch wariuje z głodu, dlatego chciała jak najszybciej się posilić.

– Chodź tu! – zawołał Marcin, a dziewczyna najpierw rozejrzała się dookoła, a potem podeszła. Przygotowywała się do opuszczenia tego miejsca za kilka dni. Flota holenderska była niedaleko, a ona chciała w końcu ujrzeć męża. Uznała, że czas wykorzystać najlepszy moment, by zbiec.

Znów brązowe włosy wychodziły spod kapelusza. Marcin kazał jej się poprawić i szybko przeszedł do tematu:

– Jadę do Wassenaera, chcesz też jechać spotkać się z mężem? Zabiorę cię.

Eline rozradowała się na wieść o takiej możliwości. Nie musiałaby sama podróżować. We dwoje mogli lepiej poradzić sobie w nieznanym terenie. Szybko odpowiedziała:

– Tak, chcę! Wyruszasz teraz!? Wezmę broń i jakiegoś konia! Zaraz do ciebie dołączę, poczekaj chwilę – miała biec, ale Seradzki ją zatrzymał.

Dobrze znała język tych ludzi. Nauczyła się go w kilka tygodni, przebywając w Gdańsku i w otoczeniu Marcina. Bo uważała go za najbardziej mądrego człowieka, takiego z którym może rozmawiać na przeróżne tematy. Choć z kilku jego poglądów i zachowań otwarcie się śmiała. Marcin należał do ludzi łagodnych i bardzo dobrych. Od powrotu pan szkutnik był bardziej zdecydowany, miał pasje i budził wielkie zaufanie. No i na poważnie podchodził do ważnych kwestii życiowych.

Dlatego się go trzymała, co jej nie powstrzymywało przed niegrzecznym zachowaniem wobec niego.

– Mów ciszej i poczekaj. Musisz to zrobić potajemnie. Nie masz swojego konia, dlatego musisz jakiegoś ukraść, więc nie wiem, do czego się tak rwiesz. Weź Wojownika. Jeździłaś na nim i koń cię lubił. Jest szybki i dobry w trudnym, nieznanym terenie. Nawet ja nie znam Danii, więc musimy być gotowi na każdą ewentualność. Wątpię jednak, żeby konie przydały nam się na długo. Ale to się okaże. Odczekaj godzinę. Weź broń, trochę prowiantu, proch i kule. Nie będę czekał dłużej niż dwie godziny.

– Wezmę jeszcze bandaże, opatrzę twoje rany.

Marcin znowu zobaczył, jak koszula ciemnieje mu od krwi. Znów poczuł ukłucie w brzuchu. Poza tym czuł, jak spod koszuli sączy mu się czerwień.

– Dobra, weź bandaże – oznajmił Marcin. – Ale nie martw się tą raną. Błagam cię, nie daj się złapać. Kradzież Wojownika nie uszłaby ci na sucho. Jeśli zobaczą, że uciekasz na nim, zaczną strzelać.

– Nie bój się o mnie, martw się o siebie, bo rana jest paskudna – odparła, spoglądając na jego ciągle krwawiący brzuch. – Gdzie mam czekać?

– Pamiętasz stary dąb? Raz wybraliśmy się tam na zwiady, kiedy Czarniecki nas wysłał. Rozmawialiśmy wtedy o moim pobycie w Londynie.

– A tak, pamiętam. Mówiłeś o tej okropnej zimie w tamte dni w Anglii. Niespotykane.

– Mniejsza o to, zajmij się podróżą…

– Trafię tam – uśmiechnęła się. – Jeśli o to chodzi.

– Musisz tam trafić, inaczej odjadę bez ciebie. – Seradzki martwił się, że wpadnie przez to w kłopoty, ale nie miał wyboru. Lepsze było to, niż zostawienie jej z tamtymi ludźmi. – Nie mamy dużo czasu, flota jest już w drodze, a ja muszę zdążyć im na spotkanie.

– Masz jakieś wieści o flocie? Powiedz mi o tym. Albo lepiej nie. Porozmawiamy w drodze. Marcin, spokojnie, będę pod dębem jak najszybciej. A ty jedź już, ja idę się przygotować. Zrobię to szybko.

Marcin wsiadł na swojego konia, spojrzał na Eline i się uśmiechnął:

– Nie powinienem tego robić, Czarniecki mi ufa, ale jest w tobie coś, co imponuje mi bardzo.

– Jedź już, staruszku, bo się rozpłaczę – zaśmiała się głośno. Marcin trochę ją uciszył, ale samego rozbawiło go to, gdy usłyszał, jak go nazwała. Do młodych bowiem nie należał, a sam nazywał tak swojego wuja. A co do Eline, nawet jej śmiech różnił się od obozowego śmiechu żołnierzy, z którymi przebywali. Nie chciał, by jej tożsamość została ujawniona przed podróżą.

Odjechał pospiesznie. Znowu się rozpadało. Zresztą nikogo to już nie dziwiło. Eline i kilku żołnierzy spoglądali na odjeżdżającego Marcina. Chwilę potem wróciła do namiotu, spakowała szybko do torby prowiant, bandaże, szmatkę i butelkę rumu. Założyła kamizelkę, przypasała pistolety, szablę i przemknęła niepostrzeżenie między namiotami do przywiązanych koni. Nie miała zamiaru czekać godziny. „Po co zwlekać" – uznała. Spodziewała się po bitwie, że jeszcze tego samego dnia pójdzie w bój.

– Dobrze, że tego uniknę – szepnęła do siebie, kiedy Czarniecki nieopodal szykował ludzi. Jednocześnie była poddenerwowana, bo bliska ucieczki z tego miejsca, mogła wpaść na gorącym uczynku. Strażnik, który pilnował koni, siedział i palił fajkę. Obok leżał muszkiet. Wiedziała, że tamten brodaty mężczyzna strzeli, jeśli coś zauważy. Groźnie mu z oczu patrzyło. Nie chciał się stamtąd ruszyć, więc postanowiła zrobić to po swojemu. Przełknęła ciężko ślinę, podkradła się, wstrzymała oddech i ogłuszyła strażnika, trafiając go w głowę kamieniem. „Teraz na pewno będą chcieli mnie zabić"

– pomyślała. Jej oczy zrobiły się wielkie ze strachu. Wojownik podszedł do niej sam. Koń zachowywał się głośno i bała się, że zwróci uwagę mężczyzny, który wyszedł za potrzebą do najbliższego drzewa. Ale nie odwrócił się. Pogwizdywał i może dlatego niczego nie usłyszał. Odetchnęła z ulgą. Odwiązała konia i szybko przemknęła dalej. Widząc wolną drogę, wsiadła na wierzchowca, popędziła zwierzę i szybko oddalała się od obozu. Wstali i spoglądali za nią.

– Ucieka, dezercja! – krzyknął ktoś w obozie.

– Zabić go!

Eline nie musiała się już ukrywać. Usłyszała strzał. Pochyliła się. Straciła kapelusz na wietrze, a włosy zaczęły jej latać na wszystkie strony. Kolejny strzał trafił w drzewo nieopodal niej. Trzeci strzał, oddany przez żołnierza, nie mógł już ją trafić. Oddaliła się wystarczająco daleko, ale nie czuła się bezpieczna. Wyprawił się za nią pościg i deptał jej po piętach przez długi czas. Wojownik dyszał, a ona łapała ciężko oddech. Pędząc ciągle przez wrzosowiska, zbliżała się do dębu, na spotkanie z Marcinem. Minął może kwadrans od momentu, kiedy się rozstali w obozie. Ona zdążyła już zrobić dobry kawał drogi i dojechać do lasu. Dąb znajdował się po drugiej stronie. Wojownik był silnym koniem. Mężczyźni długo gonili za nią, ale w końcu odpuścili.

– Idź do diabła! – usłyszała.

– I tak już jesteś martwa! – Jeden z nich spostrzegł, że to kobieta.

Dlatego właśnie odpuścili. Nie wierzyli, że poradzi sobie sama. Zawrócili i popędzili z powrotem w stronę obozu. Szykował się kolejny atak.

Pod ich nieobecność dragoni i pancerni z oddziałów Czarnieckiego podeszli pod same mury Koldyngi. Zajęli miasto. Stefan Czarniecki wybrał się w podróż do Haderslev. Tam przygotowywał plan przeprawy żołnierzy koalicji antyszwedzkiej

na wyspę Alsen. Nie spieszył się. Czekał na wieści od Marcina. Flota holenderska zbliżała się do Sundu, a Czarniecki chciał znać przebieg tamtych wydarzeń. Bitwa była nieunikniona. W regionie Kopenhagi stacjonowały duże oddziały Szwedów. Oblegali miasto. Flota szwedzka blokowała zaś port.

Szwedzka eskorta dotarła z uwięzioną rodziną pod samą Rygę. Robert Douglas, naczelny wódz wojsk szwedzkich, kazał uwięzić księcia Jakuba Kettlera i jego rodzinę w tym mieście zaraz po tym, jak sam wódz rozkazał zająć Kurlandię. Jakub Kettler nie spodziewał się takiego obrotu wydarzeń. Nie wiedział, ani jak długo to wszystko potrwa, ani kiedy będzie mógł powrócić do Mitawy. „O ile w ogóle powrócę" – w głowie krążyły mu najgorsze myśli. Nie wiedział, czy uwięziony jest przez dżentelmena czy zwyczajnego zabijakę. Nie miał władzy nad niczym, ani nad koloniami, ani nad księstwem Kurlandii i Semigalii. Nie tak chciał skończyć awanturnik, który w młodości przemierzył zachodnią Europę, by poznać idee kolonializmu i handlu morskiego. „Dobre czasy" – stwierdził. Ale to jeszcze nie koniec, pobudzał się do działania. Wojna przeniosła się do Danii, a Szwedzi chowali tyłki w fortecach. Tyle pamiętał, bo odkąd go uwięziono, był odcięty od wieści i martwił się o życie swoje i rodziny.

Naczelny wódz odwrócił się do Kettlera:

– Tutaj czeka was dłuższy pobyt! – oznajmił ostro Robert Douglas. – Lepiej przyzwyczajaj się, książę, do swojej nowej roli. Roli więźnia! Jesteście bezpieczni, macie moje słowo, ale nie toleruję ucieczki i buntu! Mam stalowe nerwy, lecz nie nadużywajcie mojej łaskawości!

Ręka Roberta zjechała na szpadę. Miało to znaczyć, że to on teraz rządzi. Uderzył się w kirys i rozkazał gwardii zaprowadzić całą rodzinę do ich nowego więzienia. Krążył dookoła, rozglądając się po niedawno obleganym, tętniącym życiem mieście. Wielu

ludzi pracowało lub po prostu próbowało normalnie pracować przy niesprzyjającej pogodzie. Jeżdżące powozy, chłopi ciągnący taczki, gwardziści pilnujący miasta i przeludniona karczma. Tak wyglądało życie tamtego dnia. Dzieci biegające obok zaczepiły dwóch szwedzkich żołnierzy, chcąc dotknąć muszkietu jednego z nich, a drugiemu pięcioletni chłopczyk próbował zabrać szablę. Żołnierze przegonili maluchy. Tamte wyśmiały ich i pobiegły na skraj lasu, obok miasta, skąd właśnie kilku mężczyzn wracało po ciężkiej pracy, ciągnąc dostawy drewna. Kettler przyjrzał się najeźdźcy. Dobrze obserwował ich zachowania. A byli wyjątkowo agresywni w stosunku do tutejszej ludności.

– Traktujecie moją rodzinę tak źle – odparł zmęczony, lecz wciąż usiłujący zachować dumę, książę. – Czy nie powinien pan martwić się o przyszłość swojego królestwa? Myślicie, że jeszcze coś wywalczycie w tej wojnie!? Niech pan się nie łudzi, za niedługo będzie pan świadkiem upadku swojego króla

Robert zirytował się, gdy książę oderwał go od podziwiania widoków.

– Jestem lojalnym żołnierzem w służbie Karola X Gustawa, a pan, jeśli jeszcze raz mnie obrazi… – wściekły Robert Douglas podszedł z powrotem do Jakuba Kettlera i z bliska spojrzał księciu prosto w oczy. – Zabiję! Zabiję za obrazę bez skrupułów! Czy wyraziłem się jasno!?

Żona Kettlera, Ludwika, przestraszona groźbą dowódcy, wzięła męża pod ramię i poprosiła, by Jakub nie wdawał się w kłótnie z Robertem. Naczelny wódz uśmiechnął się, wsiadł na konia i rozkazał żołnierzom kontynuować zadanie. Potem odjechał z eskortą gwardii i wrócił do posiadłości.

Kurlandia została zdobyta przez wojska szwedzkie. Król Karol X Gustaw triumfował. Teraz pozostało mu opanować sytuację w Danii. A nie było to łatwe zadanie. Sprzymierzeni przeszli do kontrofensywy i wyzwalali, zajęte wcześniej przez Szwedów, miasta.

Koniec wersji demonstracyjnej